

SAMUEL BECKETT
MURPHY

POSŁOWIE J. C. C. MAYS

PRZEKŁAD MACIEJ ŚWIERKOCKI

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

1

Słońce świeciło, bo nie miało innego wyboru, nie oświetlało jednak nic nowego. Murphy siedział poza zasięgiem słonecznego dysku, jak gdyby był wolny, w swoim skromnym mieszkaniu w zaułku w West Brompton. Przez chyba mniej więcej sześć miesięcy jadł, pił, spał, ubierał się i rozbierał w średniej wielkości klatce, wychodzącej na północny zachód, z której rozciągał się niczym niezakłócony widok na średniej wielkości klatki wychodzące na południowy wschód. Niedługo będzie musiał znaleźć sobie coś innego, zaułek został bowiem skazany na zagładę rozbiórki. Niedługo będzie musiał zacisnąć zęby i zacząć jeść, pić, spać, ubierać się i rozbierać w zupełnie obcym dla siebie otoczeniu.

Siedział nago w bujanym fotelu z nieobrobionego drewna tekowego, który zgodnie z gwarancją miał nie pękać, nie paczyć się, nie kurczyć, nie butwieć i nie skrzypieć w nocy. Należał do niego, zawsze przy nim był. Kącik, gdzie siedział Murphy, był odgradzony zasłoną od Słońca, biednego, kochanego Słońca, znajdującego się znowu, po raz miliardowy, w znaku Panny. Murphy'ego krępowało siedem szarf. Dwie wiązały golenie z biegunami, jedna uda z siedziskiem,

dwie piersi i brzuch z oparciem, jedna zaś nadgarstki z tylną poprzeczką fotela. Mógł wykonywać tylko najdrobniejsze, mimowolne ruchy. Lał się z niego pot, Murphy napinał więzy. Nie było widać, że oddycha. Jego oczy, zimne i niewzruszone jak u mewy, patrzyły w górę na opalizujący na pleśniejącym gzymsie rozbrzyg kurczącej się i blaknącej plamy. Zegar z kukułką zakukał gdzieś dwadzieścia albo trzydzieści razy, i ten dźwięk stał się echem wołania na ulicy, które wtargnęło do klatki Murphy'ego i zabrzmiało wyraźnie jak *Quid pro quo! Quid pro quo!*

Takich widoków ani odgłosów nie lubił. Zatrzymywały go w świetle, do którego należały one, ale nie on, jak miał naiwnie nadzieję. Zastanawiał się mgliście, co załamuje światło słoneczne w pokoju i jaki to towar na sprzedaż proponują te krzyki. Mgliście, bardzo mgliście.

Siedział w fotelu w takiej, a nie w innej pozycji, ponieważ sprawiało mu to przyjemność! Po pierwsze, jego ciało: koίło je. Po drugie, wyzwalało jego umysł. Intelktualnie Murphy ożywiał się dopiero wtedy, kiedy cieleśnie ogarniało go takie ukojenie, jakie opisano w rozdziale szóstym. A życie we własnym umyśle sprawiało mu przyjemność, i to takiego rodzaju, że słowo „przyjemność” nie było w stanie jej oddać.

Niedawno uczył się w Cork pod kierunkiem niejakiego Neary'ego. Człowiek ten potrafił w tamtym czasie zastopować akcję swojego serca, właściwie kiedy tylko chciał, i utrzymywać je w rozsądnych granicach bezruchu przez dowolnie długi czas. Tę rzadką umiejętność, którą po latach ćwiczeń nabył gdzieś na północ od rzeki Narbada, stosował oszczędnie, rezerwując

ją na sytuacje nieznośnie irytujące, jak kiedy chciał się napić i nigdzie nie mógł dostać nic do picia, gdy wpadał w ręce Gaelów i nie był w stanie uciec, albo jeśli nachodziła go beznadziejna oskoma seksualna.

Murphy nie pragnął siedzieć u stóp Neary'ego po to, aby nauczyć się wstrzymywać akcję serca, uważał bowiem, że dla człowieka o jego temperamencie szybko okazałoby się to zabójcze; chciał tylko po prostu wyposażyć własny mięsień sercowy w odrobinę tego, co Neary, w tamtym czasie pitagorejczyk, nazywał Apmonią. Serce Murphy'ego było tak irracjonalne, że żaden lekarz nie potrafił wskazać źródła problemu. Kiedy je badano, obmacywano, osłuchiwano, opukiwano, prześwietlano i kardiografowano, zachowywało się pod każdym względem należycie. Schowane w zamknięciu i pozostawione samo sobie, by działać, przypominało jednak Pietruszkę w komórce. Podejmowało takie wysiłki, że można było sądzić, iż jego właściciel lada moment dostanie apopleksji, po chwili zaś ogarniało je takie wzburzenie, jak gdyby miało zaraz pęknąć. Apmonią Neary nazywał stan pośredni pomiędzy tymi ekstremami. Gdy znudził się tą nazwą, mianował go Izonomią. A kiedy miał już dość brzmienia Izonomii, zastąpił ją Dostrojeniem. Mógł używać takiej nazwy, jaka mu się żywnie podobała, lecz serce Murphy'ego nie chciało wejść w określany przez nią stan. Neary nie umiał bowiem wymieszać przeciwieństw w sercu Murphy'ego.

Ich pożegnanie pozostawiło po sobie niezatarte wspomnienia. Neary zbudził się z kamiennego snu, w jaki czasami zapadał, i stwierdził:

– Życie to po prostu figura i tło.

– Ale i wędrówka po to, by dom odnaleźć – odparł Murphy.

– Twarz – ciągnął Neary – bądź też układ wielu twarzy na tle rozdętego, rozkwitającego i rozbrzęczanego zamieszania. Myślę o pannie Dwyer.

Murphy pomyślałby o pannie Counihan. Neary zacisnął pięści i podniósł je na wysokość głowy.

– Zdobyć uczuć panny Dwyer chociażby na jedną krótką godzinę – powiedział – przyniosłoby mi bezgraniczne korzyści.

Kostki palców jak zwykle zbieleły mu pod skórą – w tym położeniu miały przypominać *unmittelbar*. Następnie jego dłonie otworzyły się zupełnie prawidłowo, najszerszej jak to możliwe – i była to *Negativität*. Murphy’emu wydało się, że istnieją dwa równie zasadne sposoby, na jakie dałoby się dokończyć ten gest i dotrzeć do *Aufheben*. Neary mógłby więc na przykład ukryć teraz twarz w dłoniach w eleganckim geście rozpaczki albo pozwolić im bezwładnie opaść na szwy spodni, wychodząc z założenia, że rozpoczęły swą podróż właśnie z tego punktu. Wyobraźcie sobie zatem irytację Murphy’ego, gdy Neary zacisnął pięści jeszcze gwałtowniej niż przedtem i zabębnił nimi w klatkę piersiową.

– Na pół godziny – powiedział. – Na piętnaście minut.

– A potem? – spytał Murphy. – Z powrotem na Teneryfę i do małej człekokształtnej?

– Możesz sobie szydzić, możesz drwić, ale fakt pozostaje faktem, że prochem jest wszystko, w każdym razie w tej chwili, co nie jest panną Dwyer. Jedyna

zamknięta figura na amorficznym pustkowiu, i w dodatku pusta! Mój tetraktysawiec!

Taka była miłość Neary'ego do panny Dwyer, która kochała kapitana lotnictwa Ellimana, który kochał pannę Farren z Ringsakiddy, która kochała księdza Fitta z Ballinclashet, który gotów był przyznać się szczerze do niejakiego pociągu do pani West z Passage, która z kolei kochała Neary'ego.

– Odwzajemniona miłość jest niczym krótkie spięcie – powiedział Neary, a te jego słowa przypominały uderzenie dające początek błyskotliwej wymianie ciosów.

– Miłość, która podnosi oczy – ciągnął – będąc w męce; która łaknie czubka jej umoczonego w lakerze małego palca, aby schłodzić swój język... Tobie, jak rozumiem, jest ona obca.

– Jak tureckie kazanie – odpowiedział Murphy.

– Lub ujmując rzecz inaczej: to pojedynczy, jaśniejący, zorganizowany, gęsty kleks w tłumulcie heterogenicznej stymulacji.

– Kleks to właściwe słowo – zauważył Murphy.

– Właśnie tak. A teraz uważaj, co ci powiem. Z jakiegokolwiek przyczyny, dla której nie umiesz kochać... Chociaż istnieje przecież jakaś panna Counihan, prawda?

Rzeczywiście, jakaś panna Counihan istniała.

– Powiedzmy, że zostałeś poproszony, żeby określić, powiedzmy sobie, swoje stosunki z nią – powiedział Neary. – No więc mów, Murphy.

– Są przedsercowe raczej niż sercowe. Wymęczone. Niczym hrabstwo Cork. Zdeprawowane.

– Właśnie tak – powiedział Neary. – No dobrze. Z jakiegokolwiek przyczyny, dla której nie umiesz kochać na mój sposób, a możesz mi wierzyć, że innego nie ma, z tej samej przyczyny, jakakolwiek by ona była, twoje serce jest takie, jakie jest. I dalej, z tej samej przyczyny...

- Jakakolwiek by ona była – wtrącił Murphy.
- Nie mogę nic dla ciebie zrobić.
- Niech Bóg pobłogosławi mojej duszy.
- Właśnie tak – stwierdził Neary. – Muszę powiedzieć, że szyszynka skurczyła ci się do zera.

Rozbijał fotel do maksimum, po czym się odprężył. Świat powoli cichł, tamten wielki świat, gdzie *Quid pro quo* wykrzykiwano tak, jak gdyby chodziło o jakiś towar na sprzedaż, a światło nigdy nie bladło dwa razy w ten sam sposób; on wolał ten mały świat, jaki opisano w rozdziale szóstym, gdyż mógł w nim kochać sam siebie.

Słuchawka telefonu stojącego w bezpośredniej bliskości zadrżała na widelkach. Zapomniał ją zdjąć. Jeżeli natychmiast nie odbierze, przybiegnie gospodyni, żeby to zrobić, albo jakiś inny lokator, wtedy zaś Murphy zostanie zdemaskowany, ponieważ drzwi nie były zamknięte. Nie dawało się ich zamknąć żadnym sposobem. Dziwne lokum, drzwi zwisające bezwładnie na zawiasach, a przecież telefon działał. Pokój wynajmowała jednak wcześniej pewna mająca najlepsze lata za sobą dziwka, której przeszłość była nieskromna niczym szkarłat babilońskiej nierządnicy i dawno już obumarła. Telefon, uznawany przez nią w najpomyślniejszym okresie za przydatny, w schyłkowym stał się